

TOMASZ JUREK
(Poznań)

JESZCZE O METODZIE WYDAWANIA
ŚREDNIOWIECZNYCH KSIĄG SĄDOWYCH
(NA MARGINESIE ARTYKUŁU
JACKA S. MATUSZEWSKIEGO)

W 1991 r. nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk ukazała się przygotowana przeze mnie do druku *Księga ziemská kaliska 1400–1409*. Rzecz pobudziła J.S. Matuszewskiego do zamieszczenia w „Kwartalniku Historycznym” (2, 1993, s. 27–36) obszernej recenzji, ujętej w formę osobnego artykułu. Lwią część swego wystąpienia poświęca Recenzent rozważaniom ogólniejszym. Znalazło się wprawdzie także (s. 30–31) nieco szczegółowych uściśleń i poprawek do Indeksu. Choć część z nich nie jest trafna¹, wszystkie uzasadnione uwagi przyjmuję z prawdziwą wdzięcznością. Do odpowiedzi na recenzję – wbrew przyjętemu dobremu obyczajowi – skłaniają jednak wypełniające niemal cały tekst rozważania o metodzie publikowania ksiąg. J.S. Matuszewski oprotestował bowiem najbardziej fundamentalne zasady edytorstwa tego typu źródeł. Głos jego nie może pozostać bez odpowiedzi – na wydanie czeka wszak wciąż jeszcze wiele zabytków, także tych najdawniejszych, z początków XV czy nawet schyłku XIV w. (jak choćby najstarsza księga ziemská konińska).

Przede wszystkim podważa Recenzent zasadność publikowania ksiąg sądowych w całości. Starczyłby jego zdaniem wybór najciekawszych zapisek. Zasadność tego sądu opiera na obserwacji nie tylko mojej *Księgi kaliskiej*, lecz także wydanej wcześniej przez Karola Rzyckiego i Kazimierza Kaczmarczyka (1960) *Księgi ziemskiej poznańskiej 1400–1407*². Druzgocącą ocenę tej ostatniej: „In hoc libro nil reperietur opportunum” (s. 27), uznać trzeba za nieuprawniony przejaw recenzenckiej retoryki. Każdy, kto zajmował się póź-

¹ Np. wbrew temu, co pisze się w recenzji na s. 31, wszystkie trzy osoby z zapiski nr 631 mają swe miejsce w indeksie; nie wiem dlaczego Recenzent uważa, że „niełatwo dociec”, iż Jadwigi – sprzedającej w zapisce nr 2864 część Gałązek – w indeksie szukać należy s.v. Gałązki.

² J.S. Matuszewski nie zauważył publikacji przez L. Białkowskiego najdawniejszych zapisek lubelskich z 1409 r. („Teki Archiwalne” 7, 1960); moja *Księga kaliska* nie stanowi więc 50% dorobku powojennego edytorstwa w zakresie ksiąg ziemskich (jak w recenzji, s. 27). Wspomnieć też oczywiście należałoby liczne publikacje ksiąg miejskich – jako obiekt edycji księga miejska niewiele różni się od ziemskiej.

nośredniowieczną Wielkopolską, wie przecież, że to jedno z podstawowych drukowanych źródeł informacji dla tej epoki. Zawartości *Księgi kaliskiej* Recenzent zechciał być poświęcić także nieco ciepłych słów (s. 32–34), zdaje się jednak, że tylko ze względów kurtuazyjnych. Z całokształtu wywodów widać bowiem, że i tę edycję uważa za zawierającą w dużej mierze (czy nawet głównie) nikomu nie potrzebny materiał.

Spór o publikowanie ksiąg sądowych w całości bądź w wyborze nie jest bynajmniej nowy. Pogląd J.S. Matuszewskiego nie jest więc, choć nigdzie o tym w recenzji nie wspomniano, całkiem oryginalny. Przed stu laty reprezentował go, przypomnijmy, Franciszek Piekosiński. Ówczesna jego dyskusja z adwersarzami jest pouczająca i dziś³. Przypomnijmy, iż Piekosiński był w swym uporze przy wydawaniu wyborów wyłącznie zapisek „przedstawiających naukowy interes”, zupełnie osamotniony. Nawet A.Z. Helcel, z którego nazwiskiem kojarzy się zawsze antologia zapisek krakowskich, uważał tę swoją publikację za tymczasową, którą będzie musiało z czasem zastąpić pełne wydanie odpowiednich ksiąg. Przypomnijmy też mizериę argumentacji Piekosińskiego w tej sprawie. Domagając się wydawania li tylko wyborów, z rozbrajającą szczerością przyznawał, że nie jest w pełni kompetentny do oceniania, która zapiska jest ważna, która nie. Wskazywał natomiast przede wszystkim na finansowe przeszkody w wydawaniu ksiąg *in extenso*. Pochwalił jednak pełne wydanie ksiąg wielkopolskich przez J. Lekszyckiego, skoro sfinansował je rząd pruski, „którego oszczędzać nie mamy przecież żadnego powodu”.

Pod tą tradycją podpisuje się teraz J.S. Matuszewski. Broniąc zasady drukowania ksiąg w całości, wskazać musimy na kilka przynajmniej momentów. Po pierwsze, alternatywa: wydawać powoli i mozolnie pojedyncze księgi w całości, czy też szybko przygotować wybór z wszystkich ksiąg piętnastowiecznych (tak rzecz widział Piekosiński) – jest pozorna. Opracowanie antologii zapisek byłoby również przedsięwzięciem szalenie praco- i czasochłonnym. Rezygnacja z zasady publikacji *in extenso* bynajmniej nie zapewni szybkiej publikacji wydawnictw wybiórczych. Zdaje sobie z tego sprawę także J.S. Matuszewski (s. 32). Po drugie, księga (nawet ta rekonstruowana, jak w naszym przypadku) jest sama w sobie pomnikiem przeszłości i choćby z szacunku dla niego należy oddawać ją w całości. Po trzecie wreszcie, trzeba mieć na uwadze wzgląd praktyczny: ktoś (że nawiążemy do wspomnianej deklaracji Piekosińskiego) potrafi ocenić, co ważne w przygotowywanym do wydania źródle, co nie ważne? Pomijając zaś już nawet osobiste kompetencje wydawcy, jaki znaleźć klucz merytoryczny, by dobrać zapiski do antologii? J.S. Matuszewski zdaje się nie mieć wątpliwości, że godne druku są wyłącznie teksty interesujące historyka prawa – na s. 32 podnosi bezzasadność publikowania całych ksiąg, skoro i tak do poznania „praktyki polskiego sądownictwa” starcza wciąż stary wybór Helcela, a wielu miejscach wyrzeka na ogłaszanie zapisek „lakonicznych”, tzn. nie podających

³ Najpełniej wyłożył swój pogląd we wstępie do wydania *Wyboru zapisek sądowych grodzkich i ziemskich wielkopolskich*, w: F. Piekosiński, *Studia, rozprawy, materiały z dziedziny historii polskiej i prawa polskiego*, t. VI, z. 1, Kraków 1902, s. IX n.

przedmiotu czy biegu sprawu (o pełną jasność co do intencji Recenzenta jednak trudno, bo na s. 31, domaga się usunięcia z edycji tylko zapisek uszkodzonych bądź niezrozumiałych). Trudno pojąć, że Recenzent nie dostrzega w księdze sądowej innego ładunku informacji – choćby dla dziejów osadnictwa czy tak żywo ostatnio się rozwijającej genealogii. Właśnie zaś dla genealoga czy historyka osadnictwa bardzo często każda zapiska, nawet najbardziej jałowa pod względem prawniczym, ma wartość bezcenną. Jak dalece prawnicza perspektywa skrzywia ogląd tego typu źródła, widać w momencie, gdy Recenzent sugeruje (przyp. 15), że „większość czytelników może nie być zainteresowana” także zapiskami nagłówkowymi z datą i składem roczku.

Recenzent wskazuje raz po raz przykłady opublikowanych przeze mnie (Jego zdaniem niepotrzebnie) zapisek zupełnie niezrozumiałych ze względu na uszkodzenia. Nie było ich zresztą tak wiele, jak można wnosić po lekturze recenzji, by zrezygnowanie z nich zmieniało zasadniczo objętość publikacji. Dotykamy tu już jednak drugiego wielkiego zagadnienia: czy wydawca powinien oddawać możliwie wiernie publikowane źródło (nawet z balastem błędów i niejasności), czy też przygotować winien tekst „idealny”, poprawiony, oczyszczony z omyłek, łatwy do lektury. J.S. Matuszewski zdecydowanie opowiada się za drugą drogą postępowania. Skoro – argumentuje (s. 28) – nawet deszyfracja kodu graficznego jest już formą interpretacji tekstu, a więc ingerencja wydawcy jest zawsze nieunikniona, to czemu (dla dobra przyszłego czytelnika) nie iść dalej i nie poprawiać wszystkich błędów dawnych pisarzy, czemu nie pomijać słów przez nich samych skreślonych? W *Księdze kaliskiej* trzymałem się zasady wiernego oddawania tekstu źródłowego. Czy była to fałszywa droga? Kontrpropozycje J.S. Matuszewskiego są wielorakie. Można dyskutować, czy wygodniejsze byłoby dla czytelnika oddawanie ustępów skreślonych przez pisarza tylko w przypisach, czy też (jak uczyniłem) pozostawienia ich, odpowiednio graficznie wyróżnionych, w tekście. *Projekt instrukcji* A. Wolffa obydwie możliwości uznaje za uprawnione⁴. Wydawało mi się, że wygodniejsze jest jednak drugie rozwiązanie, pozwala bowiem uniknąć mnożenia przypisów tekstowych (sumienny czytelnik zobligowany jest wszak do ich lektury). Śmiem więc twierdzić, że właśnie w obecnej postaci czytanie tekstu jest mniejszą „mordęgą” (por. s. 29 recenzji).

Stanowczo sprzeciwić się natomiast trzeba sugestii (s. 29), by poprawiać błędy dawnych pisarzy. Każda pomyłona forma jest sama w sobie źródłowym przekazem i jej poprawianie byłoby zubożeniem edycji. Zjawisko, iż prowincjonalni pisarze mieli wielkie kłopoty z poprawnym zapisem zarówno słów polskich, jak i łacińskich, a niekiedy nawet z doborem liter (np. cytowana przez Recenzenta jako kuriozum zapiska nr 2021, gdzie pisarz miast „assessoribus” zaczął pisać „afffa”), jest również ważne i ciekawe – a niemożliwe do wykrycia, gdyby wydawcy mieli konsekwentnie poprawiać publikowane tek-

⁴ A. Wolff, *Projekt instrukcji wydawniczej dla pisanych źródeł historycznych do połowy XVI wieku*, „St. Źródł.” 1, 1957, s. 167 (45).

sty. Pułapki proponowanej przez Recenzenta metody poprawiania oczywistych błędów widać nawet w jego wywodach. Gdzie leży bowiem granica błędu „oczywistego” – J.S. Matuszewski zalicza tu np. i formę „connovit” (miast „cognovit”), którą ja uznałbym tylko za niewątpliwą oboczność (powtarza się wszak częściej). Czy oboczności też należy naprostowywać?

Edytorskie sugestie Recenzenta idą jednak jeszcze dalej. Raz wszedłszy na drogę dążenia do „przejrzystości” publikowanego tekstu, domaga się nie tylko poprawiania błędów ortograficznych czy fleksyjnych, ale także takiej rektyfikacji trudnych tekstów (chodzi konkretnie o teksty polskich rot przysięg sądowych, zapisywanych w języku dalekim od współczesnej polszczyzny), by stały się „zrozumialsze dla dwudziestowiecznego czytelnika” (s. 30). Propozycja to niezbyt konkretna, ale zakładająca co najmniej zmianę źródłowej pisowni podług uznania wydawcy. Trudno byłoby się chyba z tym pogodzić komukolwiek. Recenzent nie zdaje sobie zresztą bodaj sprawy, że w przypadku najbardziej zawitych tekstów polskich – a o te właśnie Mu chodziło – po prostu nie wiadomo, jak je przełożyć na współczesną polszczyznę. Jediną drogą pozostaje zatem ścisła transliteracja według rękopisu.

Niejako w cieniu spraw zasadniczych kryją się uwagi dotyczące kwestii drobniejszych. W omawianej recenzji odzywają wątki – dawno zdawałoby się wygasłego – sporu o ortograficzne zasady edycji średniowiecznych tekstów. Recenzent ma mi bowiem za złe, iż – zgodnie z instrukcjami wydawniczymi i ukształtowaną na ich gruncie kilkudziesięcioletnią praktyką – piszę „wlgariter” („nie ulega wątpliwości, że to vulgariter” – s. 29), „Eduigi” („jaśniej wyglądałby zapis... Edvigi” – s. 31). Zgodzić się natomiast muszę, że rzeczywiście niezbyt szczęśliwe było zrezygnowanie z rozwiązywania dat innych niż daty roczków sądowych (uczyniłem tak dlatego, by wyeksponować właśnie daty roczków, by nie zginęły one optycznie wśród innych dat) i uproszczenie opisu niedokończonych zdań: zgodnie z *Projektem instrukcji* A. Wolffa zostawiałem je bez kropki, natomiast wbrew temuż *Projektowi* zrezygnowałem (dla oszczędności) z dodawania specjalnych przypisów – co nie zdało egzaminu, skoro nawet wnikliwy Recenzent nie zrozumiał o co chodzi (por. s. 30 recenzji).

Ostatnia część recenzji (s. 34–36) została poświęcona zastosowaniu komputera w edytorstwie źródeł historycznych. Choć punktem wyjścia jest tu *Księga kaliska*, cały ten ustęp traktować należy jako wizję futurystyczną. J.S. Matuszewski postuluje publikowanie w formie druku tylko „najwartościowszych” zapisów, całej reszty zaś – wyłącznie w postaci dyskietki. Nie wracając już do kwestii oceny, co uznać należałoby za teksty „wartościowe”, przypomnieć trzeba autorowi tego pomysłu oczywisty fakt, iż wciąż nie każdy historyk dysponuje komputerem i znajomością jego obsługi. Zupełnego zrezygnowania z postaci drukowanej książki nie sposób sobie wyobrazić także i z tego względu, że (jak zauważa sam Recenzent) „lektura tekstu na ekranie monitora jest... bardziej męcząca niż czytanie drukowanej książki”. Oczywiście docenić trzeba korzyści z pracy nad tekstem zapisanym na dyskietkach, ale nie wynika stąd jako konieczny wniosek zorganizowanie handlowej dystrybucji

dyskietek. Póki co, chętnym zalecić można korzystanie z bardziej poufnych kontaktów (sam Recenzent otrzymał kopię od podpisanego). Utworzenie rynku publikacji naukowych na dyskietkach wymagałoby ujednolicenia formy ich zapisu. J.S. Matuszewski apeluje więc o opracowanie powszechnie obowiązującej „Komputerowej Instrukcji Wydawniczej”. Jest to jednak znów pomysł nierealny. Wobec błyskawicznie postępującego rozwoju technik komputerowych (program WordPerfect, który tak gorliwie zaleca Recenzent, w Niemczech – *relata refero* – już wychodzi z użycia na rzecz nowych, lepszych edytorów), instrukcja taka uległaby pewnie dezaktualizacji, zanim jeszcze zdolałaby uzyskać powszechną akceptację.

Zaproponowane przez J.S. Matuszewskiego zasady edytorskie budzą sprzeciw. Niepokoi bardzo postawa głębokiego przekonania, iż posiada się wiedzę o tym, co w źródle jest cennego – co nie, i o tym, jak poprawiać zastany tekst. Każdy badacz, a już zwłaszcza wydawca, podchodzić winien do źródeł z większą dozą pokory. Recenzent bodaj świadomie głosi poglądy obrazoburcze, lecz nie ujawnia niemal nigdzie (poza wzmianką w przyp. 31) świadomości powszechnego panowania odmiennych sądów. Wbrew Recenzentowi też nadal rolę wydawcy widzę – nie reprezentując tu bynajmniej własnego, oryginalnego poglądu – w możliwie wiernym oddaniu rękopisu (i skomentowaniu jego treści, w naszym wypadku w postaci indeksu), przy ograniczeniu do niezbędnego minimum ingerencji w publikowany tekst. Każda taka ingerencja ogranicza bowiem zakres kwestionariuszy możliwych pytań, jaki stawiać mogą źródłu przyszli badacze – na ograniczeniu takim zaś z pewnością nikomu nie zależy.